DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 15. LUTEGO 1927. № 4.

TEN, KTÓRY ZEBRAŁ Z POLSKICH CHAT ŻALNIKI ŁEZ.

Nad tatrzańskich gór szczytami, w pogodny jesienny dzień sierpniowy przeleciał Anioł Śmierci...

W cichym poszumie swych skrzydeł zawisł nad Poroninem, złowróżbną niosąc wieść całej Polsce, wieść o zgonie wielkiego poety, który umiłowawszy całem swem sercem ten piękny zakątek Ojczyzny, ostatnich w nim pieśni dośpiewał.

Z nad w mgłę spowitych Rysów zstąpił żałobny Duch Śmierci i zabrał nam Kasprowicza; pozbawił nas człowieka lecz nie zdołał wyrwać z dusz naszych wielkiej spuścizny uczuć i myśli potężnego piewcy: niedoli, rozpaczy i zgrozy, szczęścia, radości i piękna ludu polskiego.

W żałobnej, kirem przystrojonej trumnie legł na Harendzie Król gazdowy, otoczon tłumem tych, których losy i smutne, krwawym potem zroszone życie, złotemi zgłoskami parnasowej sztuki na wieczne czasy w księgach swych zapisał.

Popłynęły głosy niekłamanego żalu po całym kraju: — Umarł Jan Kasprowicz.— I przedewszystkiem w duszach młodzieży głosy te odbiły się stukrotnem echem, dając wyraz hołdowi, jakim go otoczyła.

Chcąc uczcić pamięć jego, odczujmy choć cząstkę tego, co żyło w poecie zrodzonym na śmiertelnem łonie zakutej w kajdany Ojczyzny. Poznajmy i ukochajmy te myśli bogate, które się złożyły na pomnik nigdy niezatartej pamięci o nim w każdym z nas!

W nadgoplańskiej krainie, Kujawami zwanej, wśród ludu pięknego a krzepkiego, obdarzonego jakąś dziwną energją i siłą, w Szumborzu, w prostej chłopskiej chacie — przyszedł na świat 12 grudnia 1860 roku Jan Kasprowicz.

Dzieciństwo jego niczem się nie różniło od życia rówieśników. W rodzinnej wiosce tak, jak wszyscy chłopcy, pasał krowy, przygrywając na fujarce. Jeno dusza tego pacholęcia nosiła już w sobie pierwiastek piękna i poezji.

Nieraz zasłuchany w śpiewie ptaków, szumie wiatru i cichych szeptach drzew, unosił się w zaświaty, w sferę uczuć i marzeń; odrywał się od ziemi i pogrążony w harmonijnej melodji cudownej przyrody, widział przed swemi oczyma świat przyszłej swojej poezji. W tem zasłuchaniu zapominał o obowiązkach pastuszka, za co niejednokrotnie cierpiała jego skóra, a jednak wciąż marzył i myślał, rozmiłowując się coraz bardziej w otaczającej go naturze.

Rodzice Janka, zwłaszcza jego matka, postanowili dać synowi wykształcenie. Pomimo trudności natury materjalnej, jakie stawały na przeszkodzie w spełnieniu zamierzonego celu, posłali go do gimnazjum państwowego w Inowrocławiu.

Z chwilą największego wzrostu germanizacji w W. Ks. Poznańskiem, wstępuje dziesięcioletni Kasprowicz w progi szkoły nawskróś już wówczas niemieckiej, w któ-

rej miał przeżyć nietylko pierwsze upokorzenia, wynikające z ucisku, jaki odczuwali Polacy pod ciężką ręką rządów pruskich, ale także i upokorzenia, ktorych źródłem było jego pochodzenie. Dostał się do grona „paniczyków miejskich“, którzy nie szczędzili drwinek i ostrych zniewag niezamożnemu, a przytem chłopskiemu synowi.

Uciekły w niepowrotną przeszłość błogie chwile dzieciństwa, spędzone w rodzinnym domu, zostawiając po sobie jeno pamiątkę wspomnień, pięknie wyrażoną w „Wojtku Skibie“:

„O wieku złoty! niepowrotne czasy!
„Jakim wy dziwnym oblane urokiem;
„Jakież wy pełne przecudnej krasy,
„Kiedy pod matki uwielbianym okiem
„Stajemy pierwszym chwiejącym się krokiem
„Na owej drodze, co się cierniem ściele“.

I rzeczywiście, od chwili opuszczenia Szymborza, rozpoczynają się ciężkie czasy dla Kasprowicza. W gimnazjum uczył się słabo, wiele musiał pokonać trudności. Nauka szkolna nie trafiała do duszy jego! Nic dziwnego, była to bowiem natura przeznaczona do twórczości oryginalnej, niezależnej od nikogo, samorzutnej.

Z każdym dniem wzrastający ucisk germanizacyjny stwarzał w duszy przyszłego poety nienawiść do nauczycieli, co ujemnie wpływać musiało na atmosferę i tak ciężkiej pracy.

Zwłaszcza, jeśli przypomnimy sobie, jakich środków chwytali się zaborcy w celu wykorzenienia z młodzieży patrjotyzmu i polskości, jasno zdamy sobie sprawę z ciężkich warunków, towarzyszących nauce Kasprowicza.

Takie natury, jak jego, przesiąknięte piastowemi zasadami pierwotnej struktury, nie podlegały żadnym wpływom obcej przemocy, walczyły z nią, łamiąc się w sobie, a nie ustępując jednak ani na krok od swoich praw. Nic więc dziwnego, że w pewnym momencie zbyt bolesnych upokorzeń, jakich doznawał często ze strony kolegów i profesorów, cierpliwość i panowanie nad sobą straciły władzę, a owa duma szlachetnego gniewu, wywołana bólem zniewagi, doprowadziła do ostrego zajścia między jednym z profesorów a Kasprowiczem, bezpośrednim skutkiem czego było wydalenie siódmoklasisty z gimnazjum.

Udaje się na Śląsk opolski i tam, w Raciborzu powtórnie wstępuje do szkoły, której znów nie dane mu było skończyć. Gdy już miał zdawać egzamin maturalny, Niemcy, nieznoszący jego manifestacyjno-polskiego zachowania się w kraju, poczęli mu doradzać opuszczenie gimnazjum. Podczas egzaminów ostatecznych jeden z profesorów powiedział mu, że lepiej zrobi, jeśli dobrowolnie opuści szkołę, gdyż w przeciwnym razie władza policyjna zmusi go do tego — Kasprowicz, porwany pasją, rzucił w profesora kałamarzem, zalewając go atramentem.

Mimo zatuszowania tej całej sprawy — zmuszony został do szukania nowej przystani, aż wreszcie za sprawą dra Witulskiego dostaje się do gimnazjum Marji Magdaleny w Poznaniu, gdzie szczęśliwie, po czternastoletniej nauce, kończy średnie wykształcenie.

Jak widzimy zatem, pierwsze kroki stawiane przez niego na drodze życia, obfitowały w trudności, z któremi walczyć musiał za młodu.

Rozpoczyna się okres uniwersytecki.

Kasprowicz wstępuje na wyższą uczelnię w Lipsku, a potem we Wrocławiu, gdzie studjuje: literaturę, filozofję i historję.

Zetknięcie się Kasprowicza z ludem górnośląskim podczas pobytu w Raciborzu zbliżyło go do spraw tej dzielnicy polskiej, gdzie Prusak w ohydny sposób gnębił wszelkie objawy narodowe i patrjotyczne. Młodzieniec, przejęty ideałem miłości Ojczyzny, nieskażonym żadnemi doktrynami partyjnemi, spojrzał na lud górnośląski kochającem okiem brata-rodaka. To zbliżenie poety do sprawy narodowej stworzyło podstawy do jego późniejszego stanowiska na polu pracy i myśli społecznej.

Nie mógł znieść ucisku, jaki cierpieli Polacy, wypowiedział więc walkę zaborcom, za co został wtrącony do więzienia.

I tam poczynają się krystalizować pod wpływem samotności jego poglądy i idee przewodnie, które z biegiem czasu znajdą swój wyraz w poezji.

Żeby sobie jasno zdać sprawę, co się podówczas działo w zaborach, należy z nastrojów i przekonań społeczeństwa polskiego poznać jego charakter.

Świadomość społeczna, pozbawiona steru jaźni narodowej, obsuwa się bezwładnie do poziomu materjalizmu i tam szuka dla siebie ideologji. Pokolenie 63 roku zagrzebało ostatnią iskrę myśli narodowej. Naród, jako pojęcie, przestał istnieć dla inteligencji, która była zajęta wyłącznie pozytywizmem i pracą organiczną; wszelkie przeto śmielsze pomysły i zamiary potępiała,ześrodkowując cały swój wysiłek w kierunku zdobycia dobrobytu.

Ruch umysłowy w kraju ograniczał się do propagowania materjalizmu. Beznadziejność i bezwład polityczny panowały powszechnie, wytwarzając atmosferę zabójczą dla narodu a wrogą dla poezji.

Socjalizm ze swemi hasłami wolnościowemi zlewał się początkowo na terenie trzech zaborów z patrjotyzmem, Kasprowicz jednak i wtedy widział pewne błędy, lęgnące się w tym ruchu, to też ostro przeciwko nim występował: zarzucał kłam tym, którzy zapewniali, że kochają ludzkość nie zaś naród:

„Kto nie ukochał swej własnej ziemi,
„Kto na jej ustach sercem nie zawisnął,
„O, temu ogień miłości nie błysnął,
„Ten i świat dłońmi obejmie zimnemi!"

I wreszcie tak syntetycznie ujmuje problem społeczny:

„W imię Ludzkości do dobra Ojczyzny
„W imię Ojczyzny, gdzie Ludzkości słońce.

W więzieniu zatem formuje swój pogląd na sprawę narodową. Będąc z tytułu swych zasad demokratą, nie mógł jednak pójść śladami demokratyzmu socjalnego, był bowiem przedewszystkiem Polakiem, pamiętającym przestrogi Ksiąg Pielgrzymstwa; Kasprowicz oparł się na nowym prądzie demokratyczno-ludowym.

Po opuszczeniu więzienia zamieszkuje we Lwowie, gdzie w 1901 roku wstępuje do redakcji „Słowa Polskiego". rozwijając ożywioną działalność dziennikarską.

Wzrastając w epoce propagandy pozytywizmu w filozofji i realizmu w sztuce, przejmuje się temi prawdami, których zastosowanie urzeczywistnia w realistycznem traktowaniu ludu. Jest on optymistą, widzącym jedynie zbawienie w pracy i w niezłomnej wierze w zwycięstwo sprawy narodowej:

„Trzeba nam wiary, że my zawiśli
Od własnej woli i ręki,
Że przekształcimy w bronzy swe myśli
I w laurów zwoje".

A ową tężyznę widzi właśnie w ludzie, skoro powiada:

„Jednak do góry, skroń do góry...
Jest w ludzie siła niepożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Niby w popiele skra ukryta.
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchajmy w tę skrę bożą,
Aż łuk spłonie wstęgą".

W pracy dziennikarskiej nie doszedł Kasprowicz do perfekcji, był bowiem przedewszystkiem zawsze poetą. Zrywał więc więzy, krępujące polot jego fantazji i uczuć, w poezji jedynie znajdował prawdziwe ukojenie i teren do wyrażania najgłębszych swych wrażeń.

W 1904 roku otrzymuje doktorat za rozprawę o Lenartowiczu, a w pięć lat później zostaje powołany na katedrę literatur porównawczych na wszechnicy lwowskiej.

Prócz indywidualnej twórczości, tłumaczy poezje obce, z których przekłady Szekspira zdobywają mu sławę mistrza. Praca profesorska męczy go bardzo, pracowitością jednak zadziwiał kolegów i nikt nie przypuszczał, że ten człowiek pracował falami, zależnie od przymusu, jaki wkładał na niego obowiązek.

Podczas wojny Kasprowicz przebywa w ulubionym Poroninie. Z chwilą odzyskania niepodległości wydajną pracą na polu społeczno-narodowem, realizuje swoje przekonania i plany.

Gdybyśmy chcieli poznać wizerunek Kasprowicza jako poety, wystarczyłoby bodaj przeczytać kilka tylko jego utwo-

rów, wszędzie bowiem spostrzeżemy zasadnicze, charakterystyczne rysy, cechujące całokształt twórczości.

Poezję traktuje on, jako wytwór sił natury, drzemiących w nim. Dziedzina poezji jest dla niego światem intelektualnego procesu, ściśle związanego z naturą, otaczającą człowieka.

Odczuwając całą swoją istotą niedolę ludzkości, stara się jej ulżyć w dźwiganiu krzyża żywota, lecz nie dana była mu moc, by zmienić w triumf te łzy".

Wszystkie wielkie duchy przechodzą w swojej psychicznej budowie uczuć i myśli walkę z Bogiem, walkę z absolutem Dobra. Widząc nieszczęsny padół ludzkości, nurzający się we łzach i bólu rozpaczy — czekają zbawienia od Stwórcy; gdy ono jednak nie przychodzi, by wykorzenić niesprawiedliwość i pocieszyć cierpiących — wypowiadają Mu walkę płomienną na serca, uczucia i rozum, rozjaśnioną światłem wielkiego ideału Miłości, pozbawionego atoli pokory i uznania faktów dokonanych za wytwór najwyższej Mądrości i Autorytetu.

Rzecz jednak znamienna, że wszystkie takie duchy, o ile są prawdziwie wielkie, w najwyższej ekstazie uczuć, wywołujących bunt, odradzają się i przekształcają w wyznawców powolnych Bogu.

Tak było też z rozwojem duchowotwórczym Kasprowicza. Najpierw „tęsknota do jedności ze światem i wynikające stąd: ukochanie przyrody, miłość ludu, idealizm dążeń, pragnienie bezwzględnego piękna, a potem bujny pęd życia osobowego, poczucie siły, wrażliwość zmysłowa, żądza walki, aż wreszcie dorobek dwóch poprzednich objawów żywotnego ducha: smutek i ból".

Pod wpływem miłości budzi się w Kasprowiczu gniew, który jak ogień oczyszcza jego duszę, dając możność pojednania się z Bogiem.

Po burzy przychodzi cisza i równowaga, minęły zwątpienia i gniew, pozostała niezmącona pewność panowania Dobra. Z wyżyn potężnej Miłości, z lotów ikarowych ku słońcu, z walki ducha o sprawiedliwość ludzkości schodzi poeta do prastarej kultury religijnej ludu, której symbolem: Krzyż i Golgota.

Przychodzi refleksja znamienna dla prometejskiego ducha walki ze złem: „Pocóż się mamy borykać ze Stwórcą, aby się dowiedzieć, żeśmy słabi, że wnętrze nasze głuche jest i ciemne, choćby na jego strunach wichry wygrywały hymny. Czas już nadszedł dla ciebie, pieśni, ażebyś umiała lekceważąco kopnąć ból, który się mieni panem wszechmocnym serc. Pójdźmy w powszednie roisko mrówek. I wraca do swojej poezji:

„Święta jedyna pieśni! Ty łowiąca
Szumy i szepty, które sennie płyną
Z za niewidzialnych granic! Oto znowu
Zbliżam się k'tobie i znowu spoglądam
W głąb twych oczu, słodka miłośnico,
I żebrzącemi śmiem cię błagać słowy.
Iżbyś stanęła przy mnie już nie z bolem,
Ale z słoneczną, wiosenną radością,
Która daleko od ziemi, u kresu
Ludzkiej tęsknoty, rozświetli mi bezmiar
Świętych tajemnic!... On tam władnie jasny,
Cichy, spokojny Rozdawca spokojnej,
Jasnej, słonecznej—grozom, krwawym krzykom,
Łzom i rozpaczom świata niedostępnej
Nieśmiertelności..."

Ziemia, która wydała Kasprowicza, stała się źródłem jego poezji, w niej odnalazł utajoną siłę, na niej buduje nowy stosunek ludzi do życia.

W hymnie „Święty Boże, święty, mocny" odczuwamy ten głęboki związek poety z ziemią. Grób w pojęciu Kasprowicza to nie symbol śmierci i zagłady, ale raczej pewien etap odrodzenia ducha z żywotnych soków ziemi — wszechpotężnej władczyni bytu ludzkiego.

Tęsknota, przebijająca się w twórczości poety jest wyrazem jego myśli, ulatujących w przeszłość wszechświata. W modlitwie o ten grób odrodzenie tak błaga Boga:

„Niechaj w nim kości położy
ten, który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie ten trud,
jej tajemniczy jęk,
idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.
Niechaj w nim spocznie na wieki
ten, który zebrał z jej chat
żalniki łez
i czeka kiedy przyjdzie wybawienia kres

i z jej szumiących zbóż
zgarniał ten dziwnie przejmujący szum
i w swoich dum
treść go zamykał i w świat,
jak wielką świętość niósł“.

Kasprowicz wnosi do wielkiego gmachu cywilizacji polskiej nowy pierwiastek, duszę starej kultury ludowej, czem ożywia, nadaje tężyznę i wzbogaca poezję.

Zdawało się, że po epoce romantyzmu zamrze poezja, że mesjanistyczna, nadzieją i wiarą opromieniona, myśl narodowa, spaliwszy się w duszach wieszczów, pozostawi po sobie jedynie popioły, rozszarpywane wichrami rozczarowań, zwątpień i rozpaczy. Stało się jednak inaczej, poezja Kasprowicza, jak Feniks odrodziła się z tych popiołów, wzięła za podstawę swego istnienia ideał pracy dla wszystkich i ideał zbawienia wszystkich.

W chwili zetknięcia się ze światem ducha pierwotna natura Kasprowicza wytworzyła „estetyczne uniesienie woli“, czyli t. zw. prometeizm, który jest wybuchem miłości, jaką żywi poeta przez Ojczyznę dla Ludzkości. Duch ten pod wpływem umiłowania nieszczęścia ludzi, staje się „żalnikiem“ zebranych po świecie łez.

Miłość ludzkości wynika u Kasprowicza z tegoż uczucia dla ludu polskiego:

„Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się zrosło z wami moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy“...

Bunt przeciw Bogu rodzi się na skutek poznania niedoli ludu. Pojednanie z Nim przynosi Kasprowiczowi wiarę w siłę, kryjącą się „pod siermięgą“, gdyż: „Duch ten, co płodził rycerzy, co męczenników prowadził na stosy... w pierś on nie jedną i dzisiaj uderzy... Bo Duch ten z Boga idzie, bo jest wieczny. Tylko ta dzisiaj zachodzi różnica, że owi ducha Bożego wybrańcy w szyszak żelazny nie skrywają lica, jak ci, co biegli odpierać pohańce, ordy cezarów, rogi półksiężyca, że na bojowe występują szańce bosi, obdarci, spragnieni i głodni, a cisi... bez surm, kotłów, bez blasków pochodni“.

Poeta chce lud dźwignąć, chce pchnąć go na nowe tory rozwoju, uszczęśliwić, więc wsącza weń kulturę, aby się przez nią odrodził:

„A jednak w górę, głowy w górę!
Czas się wygrzebać z trosk koryta,
Duch uskrzydlony wznieść nad chmurę,
Gdzie złotem blasków słońce wita“.

Kasprowicz jest poetą cierpienia, lecz słusznie powiada Przybyszewski, że wyróżnia go z całego tłumu wszystkich poetów cierpienia: „nie ten płaczliwy ból zawodów osobistych, złamanej miłości, braku pieniędzy; ból Kasprowicza — to kosmiczna potęga, co światy z siebie wyrzuca, to droga, po jakiej ludzkość postępowała, to ból tworzenia i wielkiej przemiany cierpienie, które mu rozpiera piersi i które szalało w piersiach proroków, w duszy takiego Słowackiego, kiedy tworzył „Króla Ducha“ i myślą wieki obejmował i przetwarzał“.

Duch Kasprowicza, pozostając wśród nas, zrodzi silne realnie jednostki, które powiodą młodą Polskę do „sławy grodu“, do wielkości i potęgi!

„...oddajmy cześć naczelnemu Polski dzisiejszej poecie, duchowi czystemu i hartownemu, jak kryształ gór, jak ów kryształ, sypiący skry ciepła i pieszczące, gdy się o granit tatrzański obetrze, a skry piorunowe i mściwe, gdy go zły los Polski, lub własny jego Demon — wróg podstępną stalą zrani“!

Tadeusz Horodeński

KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WILNIE.



Krzyż Witolda z XVI. w. z kości słoniowej, który dostał w dniu chrztu św. od. Wł. Jagiełły. (Znajduje się w zakrystji).



Ambona ks. Piotra Skargi w kaplicy królewskiej.

Kościół katedralny jest Wawelem wileńskim dla każdego Polaka. Do murów kościoła przylegał ze strony zachodniej zamek królewski, z którego krętą galerją było przejście do chórów kaplicy, zwanej kaplicą świętego Kazimierza. Tutaj święty dni, a często i noce spędzał na modlitwie, tutaj został pochowany, a potem dopiero przeniesiony do nowej okazałej kaplicy. W tej kaplicy odbywał się potajemny ślub Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną.

Legenda mówi. że gdy ta kaplica ulegnie zniszczeniu, wtedy na kraj spadnie wielkie nieszczęście, to też podparli ją u sufitu żelaznemi sztabami, aby umocnić i utrzymać w jak najdłuższe lata. Katedra zbudowana przez Władysława Jagiełłę w stylu gotyckim, przebudowana za czasów Stanisławowskich została ostatecznie ukończona w roku 1803 w stylu empire przez architekta prof. Szulca. Wygląd zewnętrzny katedry wileńskiej przypomina świątynię pogańską, ozdobioną posągami królów polskich, ale krzyż widnieje jako godło Wiary świętej. Przypomnienie to wzmaga ustawienie ławek nie pośrodku kościoła jak to zwykle bywa, tylko przy bocznych ścianach.

Na uwagę zasługuje dzwonnica, podstawa tejże jest częścią wieży, z której kapłani pogańscy głosili wolę bogów. Za głównym ołtarzem katedry jest komórka, gdzie poganie palili święty ogień, Znicz, oraz miejsce przechowywania świętych wężów.

W ogóle w katedrze wileńskiej jest wiele pamiątek. Jest tutaj prześliczny wielki ołtarz-tabernakulum i krzyż pamiątkowy z czasów Jagiełły. Przed tym ołtarzem odprawiają Msze święte wyjątkowo arcybiskupi i biskupi.

W katedrze istna galerja cudnych obrazów Chrystusa, Matki Najświętszej i święt-

tych pędzla Tycjana, Czechowicza i Corregia.

Za ołtarzem w głównej nawie jest krzyż z kości słoniowej z czasów fundacji katedry, podarowany księciu Witoldowi przez Władysława Jagiełłę, gdy tenże przyjmował chrzest święty i obrazek Matki Boskiej, przed którym modlił się książę Witold, a który obecnie umieszczony w pobliżu miejsca, gdzie w murze przechowane są zwłoki księcia. Zamiast bocznych ołtarzy są kaplice. Między innemi kaplica Ukrzyżowanego Zbawiciela, pędzla Czechowicza, kaplica świętego Władysława z podniesionym do góry krzyżem. Kiedyś władze moskiewskie upatrywały w tym posągu z krzyżem coś nieprawomyślnego i kazały tę postać zasłonić. Dopiero w 50 lat potem pozwolono odsłonić zakryty posąg.

Najwspanialszą kaplicą, w której odprawiają się codziennie Msze święte jest nowa kaplica świętego Kazimierza. Wnętrze jej przypomina niektóre kaplice na Wawelu. Jest ozdobiona marmurem, a po niszach stoją rzeźbione z drzewa posrebrzane posągi królów polskich z rodu Jagiellonów. W ołtarzu mamy rzeźbioną w marmurze uśmiechniętą Matkę Boską Anielską.

Poniżej jest obraz świętego Kazimierza o trzech rękach. Podanie głosi, że malarz po ukończeniu pracy, spostrzegł wadę w wykonaniu jednej z rąk, zamalował i zrobił inną — tymczasem kontury dawnej ręki wystąpiły na nowo i zamalować się nie dały.

Nad obrazem Matki Boskiej Anielskiej jest oparta na dwóch srebrnych orłach trumna, ze szczątkami świętego Kazimierza. Po dwóch stronach ołtarza na bocznych ścianach są dwa piękne starożytne freski: wskrzeszenie zmarłej dzieweczki przez świętego Kazimierza — po drugiej, złożenie zwłok jego przed eksportacją.

Pięknym zabytkiem rzeźby w tej kaplicy jest renesansowa przenośna ambona w kształcie kielicha, mająca za podstawę orła, z której według tradycji wileńskiej przemawiał złotousty Piotr Skarga. Kaplicę tę ku czci świętego Kazimierza wzniósł Władysław IV w roku 1636. Tu jest niedawno pochowany ksiądz arcybiskup Cieplak. Trumna jego wstawiona w głąb muru, a grobowiec zarzucony mnóstwem wieńców.

W skarbcu katedralnym przechowane są ornaty, haftowane ręką królowej Jadwigi — cudne gobeliny, między niemi jest gobelin, przedstawiający Krywe Krywejte w towarzystwie króla Władysława Jagiełły. Są prócz tego kielichy, pateny, krzyże, biskupie infuły i wiele innych rzeczy, sięgających lat dawnych.

Dwunastego lipca w r. 1812 w katedrze tej odbył się akt przystąpienia do



Główny ołtarz.

Konfederacji Warszawskiej. W r. 1861 tutaj rozpoczęły się manifestacie patrjotyczne z hymnem: „Boże coś Polskę“. Z dniem proklamacji Polski zaśpiewano w katedrze wileńskiej nową zwrotkę tego hymnu:

Za długiej nocy niezgłębione cienie,
Za ciężką mękę i ofiary krwawe,
Najświętsze nasze spełnić racz marzenie,
Na wieki połącz Wilno i Warszawę.

Bronisława Rogowska.

PO ŚWIETLISTEJ DRODZE.

9) POWIEŚĆ.

— Dobre moje dziecko, mówił chory, Marinchen ty nie pójdziesz za Kurzawę, nie, ja na to nie pozwalam. Słyszysz?

Słyszę ojcze, szepnęła wstrzymując duszące ją łkania.

— Baronówna von Trejden, nie może być żoną polskiego chłopa, nie pozwalam na to, mamrotał niewyraźnie baron, usypiając znowu.

Tym razem sen był mocny i spokojny. Natalka wsunęła się cicho, panienka od rana nic w ustach nie miała. — Prosiła ,by poszła coś zjeść. Franz i Greta mieli czuwać przy chorym. Była tak śmiertelnie znużoną, że zgodziła się pójść na chwilę do siebie. Jeść nie mogła nic. Głowa bolała ją szalenie. Drugą dobę nie kładła się wcale. Wypiła podaną sobie szklankę herbaty, i poleciwszy Natalce, by usiadła w pokoju przylegającym do sypialni barona i natychmiast jak się obudzi dała jej znać, poszła do swego gabineciku. Zapach więdnących kwiatów owionął ją tu. Kwiaty te wczoraj musiał przynieść dla niej Stef i oto umierają one, giną wraz z ich szczęściem. Jakże krótko trwało ono. — Tyle niemal, co życie kwiatów bzu. — Pochyliła się nad niemi gorzko płacząc.

Wieczór już był zupełny, a po upalnym dniu nadciągała wiośniana nawałnica. Natalka odchodząc zapaliła lampę, zamknęła okna i spuściła w nich zasłony. Zatopiona w swym smutku, Maryjka nie widziała chmur, nie słyszała szumu pędzącego je wichru. W tem ktoś nacisnął klamkę od drzwi wiodących na werandę.

— Stef! zawołała, Stef! i padła w drogie ramiona.

— Maryś, Maryjko, ukochana moja mówił całując jej usta i osypując pocałunkami drobne ręce. O jakże straszne chwile pędziłaś przez te dni. A ja z tobą ich dzielić nie mogłem. Dłużej jednak wytrzymać bez ciebie jedyna niepodołam.

Nie odbierała mu swych rąk. Rozkochanemi oczyma patrzyła na tę twarz drogą. którą za chwilę pożegnać musi. Szczęście ich złamać na wieki.

Pociągnęła go do kanapki, usiadła obok niego i trzymając rękę jego w swych dłoniach, patrząc w te ukochane, szafirowe oczy, rzekła spokojnie.

— Stef, stała się rzecz straszna. należy ci o mnie zapomnieć.

Niezrozumiał jej. wszak powitała go z taką radością. Może te dwa ciężkie dni tak ją wyczerpały, że nie wie co mówi. Ale ona ciągnęła dalej spokojnie zupełnie.

— Musimy, ukochany mój, rozstać się ze sobą. Ojciec mój słuchać nie chce o małżeństwie naszem. Jest tak słaby, tak chory, że ulec mu winnam. Inaczej zabiłoby to go. Nie wspomniała ani słowa o tem. że on to właśnie. on Kurzawa, swem nierozważnem wystąpieniem zburzył szczęście ich. Nie chciała by bodaj cień żalu za to odczuł w jej głosie.

Stefan porwał się. Jakto ona mu słowo swe cofa. Czyż zapomniała o tem co tam u mogiły matki obiecała. Czyż taką jest jej miłość.

Próżno błagała go, by ją zrozumiał, nie może przecie po trupie ojca iść do ołtarza. Nie zaznalibyśmy oboje szczęścia w tym związku. mówiła.

On jednak słuchać nie chciał. Jakto dla dumy, dla kaprysu zdziecinniałego starca, mieliby pogrzebać swe szczęście? Gdzie logika, gdzie rozsądek? Błagał ją by o tem nie mówiła. W końcu padł jej do nóg i wybuchnął płaczem.

— Maryjko mówił, nie gaś radości życia

mojego, nie odbieraj mi szczęścia, nie łam życia sobie i mnie. Czuję, że bez ciebie żyć nie potrafię. Uspokajała go jak mogła, choć samej serce się krajało. Prosiła, by przez miłość dla niej był mocnym. Powtarzała to, co mówił dziś doktór. Jedno słowo nieuważne, może spowodować śmierć.

Nie ustępował, zarzucał baronowi pychę i nienawiść do wszystkiego co jest polskiem. Czyż dla tego mają być oboje nieszczęśliwi?

— Maryjko, zawołał, czyż ty małem dziewczątkiem będąc, więcej miałaś hartu i woli niż dziś?...

Potrząsnęła głową smutnie.

— Zapominasz Stef, mówiła, łagodnie przesuwając ręką po głowie jego, leżącej na jej kolanach, że wtedy szło o moją wiarę i narodowość.

— Tak wybuchnął, zrywając się, a dziś o szczęście jakiegoś tam polskiego chłopa, o nędznego Kurzawę... W odpowiedzi na te słowa z oczu Maryjki popłynęły strumieniem łzy.

Stefan pochwycił jej ręce. — Nikczemnikiem jestem nędznym, że ci te łzy śmiem wyciskać — wołał. — Maryś, słuchaj, jest rada. Weźmiemy ślub cichy, ksiądz nam go da, przy zamkniętych drzwiach. Ja tu przychodzić, bywać nie będę, aż ojciec twój wyzdrowieje, aż się wzmocni i ty mu powiesz prawdę. Ja cię nawet widywać nie chcę, bylebym wiedział, żeś ty moja, mój skarb, moja żona, przed Bogiem i ludźmi. — Zgódź się.

— Nie, odpowiedziała, nie Stef, to czego żądasz jest niemożebnem. — Nie potrafię żyć w ciągłym fałszu i ciągłej obawie. Taka rzecz ukryć się nie da. Znam ojca, jest nieugięty w swem postanowieniu.

Porwał się wzburzony.

— I pomyśleć, zawołał, że szczęście dwojga ludzi, ich życie całe, łamie pycha jednego Prusaka...

— Ten Prusak, jest ojcem moim, odpowiedziała twardo.

— Ach tak, zapomniałem — proszę mi wybaczyć i przyjąć słowa pożegnania panno baronówno von Trejden, zawołał, ukłonił się i wyszedł.

Stała chwilę jak rażona, potem wybiegła za nim wołając w rozpaczy... Stef, Stef... wicher poniósł w dal jej wołanie, zginęło ono bez echa wśród rozpętanej burzy. — Z głębi domu wołała ją Natalka do ojca, który się zbudził i pyta o nią. — Poszła tam.

Nie umarła z miłości. Nie rozchorowała się i nie siadywała w oknie płacząc dniami i nocami na grobie swego szczęścia. Wychowana w twardej szkole sumiennej pracy nie usunęła się w chwili ciężkiego bólu od codziennych zajęć, nie zaniedbała obowiązku córki. Bólu swego nie analizowała, nie lubowała się w nim robiąc ze siebie we własnem mniemaniu męczennicę. To, co się stało, musiało się stać, rozumowała. Takie bezgraniczne szczęście jakie miała przez ten tydzień, trwać nie mogło długo. Nie oskarżała ojca za jego bezwzględność, ani Stefana za brutalność z jaką ją opuścił. Ojciec, innym być nie mógł, nie potrafi dziś stary i chory zmienić swych poglądów i zapatrywań. Dotknąć musiał boleśnie Stefana i stąd to okrutne pożegnanie jej.

Bolały ją słowa jego, ale kto wiele kocha, ten ukochanemu wiele przebacza i tłumaczy go zawsze. Maryjka w miłość swą dla Stefana włożyła duszę całą. Był on jej wszystkiem w życiu. Od pierwszej chwili, gdy go ujrzała przez okno wagonu w Połocku, gdy spotkały się ich oczy, stał się jej bliskim. Kochała go nieświadomie, aż wspólna praca, częste obcowanie z nim dało jej poznać całą potęgę miłości. Nie uległa jej. — Nie poszła za ukochanym, nie zgodziła się na wzięcie ślubu w tajemnicy przed ojcem, bo była zbyt prawą i szlachetną i wszelkie kompromisy fałsze i układy budziły w niej wstręt. — Kochała jednak Stefana nad życie i wybaczyła mu wszystko.

Baron po paru tygodniach, wrócił do normalnego stanu. Odzyskał humor, apetyt i sen. Bardziej tylko żądał obecności córki, wymagał by więcej czasu poświęcała mu. — Maryjka rozumiała, że ojciec widząc ją spokojną podejrzewa może, iż skrycie widuje się z Kurzawą, lub że zamierza go opuścić. — Starała się więc i sama jak najmniej wychodzić z domu, a do Połocka nie jeździła wcale. — Aż wezwano ją tam.

Stary prawnik, który oddawna prowadził sprawy barona, powiadomiony został o nowym wekslu kursującym w mieście. Podpis na nim był naturalnie p. von Trejden. Pra-

wnik jednak przekonany był, że pismo zostało sfałszowanem, ktoby jednak mógł to uczynić, domyślić się niepodobna. Wystawiony był na 500 rubli i płatny 1-go lipca b. r.

— Sumy takiej nie posiadam w swej kasie, rzekła.

— Gdyby ją pani posiadała, to stanowczo płacić nie należy. Tego zdania jest i p. Kurzawa, który ten weksel oglądał i uznał za fałszywy.

Serce Maryjki zabiło silniej. A więc on wciąż myśli i czuwa nad nią. Rumieńce wystąpiły na pobladłą twarzyczkę. Prawnik mówił dalej, że jednym z dowodów przekonywających o zfałszowanym podpisie, było to, iż wystawiony był w dniu i miesiącu, przed rokiem, w którym to czasie baron był ciężko chory i przebywał na kuracji w Rydze. — Kurzawa prosił prawnika by powiadomił o tem wszystkiem Maryjkę i polecił jej weksla nie wykupywać. Pójdzie do protestu, a my wystąpimy, ciągnął, ze skargą do sądu, iż został sfałszowany.

Maryjka wolałaby była zapłacić by uniknąć procesu, ale prawnik dowodził, iż tego czynić nie wolno. Zapłaci jeden weksel fałszywy, zaraz więc przyjdzie drugi i trzeci. Widocznem było, że był ktoś, komu szło na zrujnowaniu barona. Zresztą nie pierwsza to próba. Przed rokiem proponowano jej przecie zwrot weksla, za dęby. — Jeśli tamten weksel nie został protestowany, to i z tym będzie to samo.

Podziękowała za radę i chciała pożegnać prawnika, gdy ten zatrzymał ją jeszcze.

— Mam tu pani oddać papiery i dokumenty, tyczące się Porzecza, rzekł, zostawił je dla niej p. Kurzawa, który wczoraj pojechał do Warszawy. Milcząco wzięła dużą, zamkniętą kopertę i wyciągnęła rękę z pożegnaniem. Stary rozgadał się jednak i tak łatwo skończyć nie mógł.

— Kurzawa, mówił, pojechał dla rozmówienia się z właścicielem Dziewiętni, którą chce opuścić. Proponują mu lepszą posadę. Pewno, że należy mu myśleć o przyszłości, ale dla naszych stron strata to niepowetowana. Taki dzielny człowiek...

— Wybaczy pan, przerwała Maryjka, ale muszę śpieszyć do ojca. Chory jest — i wybiegła. Czuła, że jeszcze chwila a straci moc nad sobą i wybuchnie głośnym płaczem.

Wiedziała, że to się stać musi, że rozstanie jest nieuniknionem, ale ból był tak silny, iż zdawało się jej, że opanować siebie nie potrafi.

Upłynęło znowu parę ciężkich tygodni. Stefan wrócił a wraz z nim przyjechał właściciel Dziewiętni i nowy administrator. Po kilku dniach, Stefan opuścił Dziewiętnię.

— Pan Kurzawa, rzekł baron do córki, wyjechał podobno do Moskwy. Tak się oburzał, że do Rosji nie wyjedzie. Nabrał rozumu, co? i to pod każdym względem, dodał drwiąco. Maryjka podniosła głowę i spojrzała poważnie na ojca.

— Ojcze, rzekła, spełniłam twą wolę. Kurzawa był i będzie jedynym człowiekiem, którego kocham. Nie dałeś mi iść za niego. Niechże więcej nie będzie mowy o nim. Proszę o to.

Zdumiał się pan Hans von Trejden, słysząc twardy nakaz w głosie córki. Spojrzał na nią i zląkł się wyrazu jej oczu. Słodkie zazwyczaj, patrzyły na niego z taką siłą z jaką on dawniej umiał patrzeć, na tych, którzy ośmielili się iść wbrew jego woli.

To nie była cicha, bezwolna Hedwig.

Nadszedł nieoczekiwany list od p. Stefy.

— Maryjko najmilsza, pisała serdeczna pani Żarska, zapomniałaś o nas tu wszystkich, a jednak odszukałam cię. Będąc w Wilnie, poszłam do twej znajomej, p. Marji i dowiedziałam się o zmianach zaszłych w twym losie, o tem, że tak blisko jesteś koło nas, dotąd nie odwiedziłaś nas, kochanie. Szczęśliwe narody nie mają historji, niemniej jednak przypominamy się twej pamięci i wspólnie z całą Powienuszką prosimy, o przybycie. Nie znasz jeszcze moich synów, istne litewskie Budrysy. A takie to miłe i kochane. Janek ma cztery lata, Stef dopiero drugi kończy. Chciałabym ci ich pokazać. Maryjko ty nie wiesz jakie to szczęście dla kobiety, mieć ukochanego męża i dzieci. Wierz mi wobec tego niczem jest świat cały. Bawi u nas obecnie Jan. Ciężką przeszedł chwilę otrzymując twą odmowę. Dziwne naprawdę zrządzenie losu, że nie zawsze możemy kochać tych, którzy nas kochają. — Obecnie Janek już uspokojony. Od trzech miesięcy ożenił się. Kuzynka nasza kochała się w nim od

dziecka niemal i miłość ta zwyciężyła go. Anka kocha go i wielbi, on jest dobrym i troskliwym mężem. Mam to jednak uczucie, że pozostałaś jedyną jego miłością. — Wczoraj mówiliśmy dużo o tobie. — Ucieszył się wiadomościami, które z Wilna przywiozłam.

Szkoła idzie świetnie. Może to przynajmniej zachęci cię do przyjazdu. Tymczasem pisz i donieś o sobie. Chcę wiedzieć, że jesteś szczęśliwą w rodzinnem gronie. Kochaj Maryjko i bądź kochaną, tego ci życzy Stefa.

(C. d n.) *Marja Reuttówna.*

SZYBKO I WYGODNIE.

(Dokończenie).

— Pan konduktor pójdzie do Kaliny, do dworu po lewar: jest w szopie, czy aby nie zamknięta?

— Szopę zostawiają otwartą, bo nam lewar często potrzebny.

— To dobrze.

— Wychodźta z trzeciej klasy! cóż to? jeździć chcecie, a dźwigać to niema komu.

Kilku zaspanych chłopów wylazło z kolejki i razem z konduktorem ruszyli w stronę dworu.

Pan Zadowolnicki wszedł na maszynę.

— Możnaby napoić tymczasem; prawie stoimy nad wodą.

— Nawet prawda, będzie prędzej.

Spuszczono długi szary wąż do pobliskiej kałuży. Tak ekonomicznie wyzyskawszy czas, zaczął pan Zadowolnicki z maszynistą opatrywać parowóz.

— Ma pan dziedzic klucz?

— Pewnie, gdzieżbym jechał kolejką bez klucza.

Wydobył skórzane puzderko z ślusarskiemi przyrządami. Zaczęli razem przykręcać i odkręcać śruby. Nie było uszkodzenia.

— Dobra nasza, mamy szczęście, za godzinę ruszamy — oznajmiał pan Zadowolnicki żonie, wracając do wagonu.

Zimno zrobiło się dotkliwe odkąd ruch pociągu nie ogrzewał podróżnych.

— Każno zapalić — prosiła pani Zadowolnicka męża.

— Przynieś tu który węgla — wołał troskliwy mąż przez okno.

Po chwili jeden z pasażerów przyniósł wiaderko węgla, napalono solidnie w żelaznym piecyku. Zrobiło się ciepło i raźno. Niebo zaczęło się przecierać. Dniało.

Pan Zadowolnicki wyszedł popatrzeć co się dzieje z maszyną, chciał także trochę rozprostować nogi i poszedł po torze. Nagle oślepiło go białe, ruchome światło automobilowych farów, usłyszał wycie syreny, trzask z bata i nawoływania.

— To chyba Postępowski, ale o tej porze?

Droga jezdna przecinała w tem miejscu tor kolejki. Pan Zadowolnicki ujrzał ogromną maszynę, zaprzężoną w sześć silnych koni. Wehikuł posuwał się wolno i ostrożnie. Na tylnem siedzeniu drzemały zawoalowane panie, przy kierownicy szofer-dżentelman we wspaniałym skórzanym komplecie. Obok niego stał szofer, trzaskając z poczwórnego bata, a na przednim koniu, siedział na oklep mały chłopak. Pan Zadowolnicki zbliżył się.

— Jak się masz Runek? Skąd Pan Bóg prowadzi?

— Z Krakowa. Trochę się zapóźniłem, ale moje panie chciały jeszcze z teatru zaglądnąć na dancing.

— Masz wygodę z tem autem, my zawsze musimy nocować w Krakowie.

— Tylko z autem i z kobietami trzeba mieć cierpliwość. Miałem przeprzążkę obstalowaną na pierwszą w nocy, a tu dopiero o 1-ej wyjechaliśmy; chłopy czekały 2 godziny, a nie lubię tego.

Panie na odgłos rozmowy przebudziły się.

— Co? to już Łatwodostępy?

— Nie, tylko Zadowolnicki się nawinął.

— A pan tu skąd i dokąd?

— Ja kolejką do Krakowa.

— Ach tak, a ma pan połączenie w Miechowie?

— Doskonałe, autobusem.

Panie skrzywiły się.

— Już tam zawsze lepsza nasza Lancia.

— Pewnie, ale nie każdego stać.

— No, trochę kosztuje, bo to i benzyna, panie i sześć koni wzwyż, ale co wygoda to wygoda.

— Ale sobie sprowadziłeś konie, no, no!

— A co, percherony, specjalne automobilowe; bez tego ani rusz. Ale co tam! Człowiek się naharuje to chce mieć i wygodne życie.

— Przecież to i do kultury potrzebne — tłumaczyła jedna z zawoalowanych pań. Inaczej człowiek ani do teatru, ani do kina, ani na dancing. Można zdziczeć zupełnie.

— Pewnie, pewnie — przytakiwał zazdrośnie pan Zadowolnicki — ale jedźcie, bo my już zaraz ruszamy, żebyście nam drogi nie zatarasowali.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Pan Zadowolnicki zawrócił szybko ku kolejce.

— Panie dziedzicu, panie dziedzicu, gdzie pan dziedzic? możnaby już jechać.

— Jestem. Gotowe? Lewar odwieziony? Dobrze tylko teraz ostro. Zakrętów już niema, równa droga, można pośpieszyć.

Dzień już był zupełny. Przechodząc koło nastawionej na szyny lokomotywy pan Zadowolnicki nachylił się nagle.

— A to szelmy, złodzieje, łajdaki! Widzicie co oni zrobili?

I triumfalnie podnosił mały, błyszczący przedmiot.

— To zamach, widoczny zamach na pociąg.

Cały personel kolejowy przybiegł do pana Zadowolnickiego. Ten trzymał w ręku puste pudełko od sardynek. Maszynista oglądał uważnie znalezione corpus delicti zbrodni.

— Ja już wiem — rzekł ponuro — to ten chycel Redzyński. Ja się z nim założył, że przez tydzień pojadę bez defektu, to mi zrobiła bestja wykolejenie. Wczoraj częstował mnie sardynkami. Ale ja mu pokażę.

Oglądał starannie pudełko.

— Znać na nim nawet przednie koła, trochę się wygięło. Szczęście, że pan dziedzic znalazł, bobyśmy znowu tylnemi kołami wjechali i nowa mitręga.

— No, jazda, jazda — nawoływał konduktor.

— Wszyscy są?

— Są.

— Jazda.

Punktualnie o wpół do siódmej stanęła kolejka na dworcu w Miechowie. Państwo Zadowolniccy pożegnali się odpowiednio z konduktorem i maszynistą, siedli pośpiesznie na czekający wózek i w parę minut zajechali na rynek.

Na rynku stała spora gromada ludzi, widocznie zagitowana i na coś czekająca. Ledwie państwo Zadowolniccy zesiedli z wózka usłyszeli głos automobilowej syreny i na rynek wtoczyła się powoli ogromna niebieska buda autobusu. Tłum zakołysał się i począł biec naprzeciwko. Państwo Zadowolniccy wiedzeni nieomylnym instynktem, wyrobionym w licznych podróżach, zorjentowali się błyskawicznie w sytuacji i korzystając z tego, że stali bliżej wylotu ulicy, z której wyjechał autobus, dopadli do niego pierwsi i zanim się zatrzymał wtargnęli do środka. Pani rozbiła sobie trochę kolano i rozdarła spódnicę, pan stłukł binokle, ale koniec końcem siedzieli w autobusie i z głębokiem ukontentowaniem rozglądali się wokoło. Nie byli pierwsi: we wnętrzu wozu siedziała już jakaś starsza pani, rozmiarami przypominająca zapałkę, jakiś ksiądz i państwo z trzechletniem dzieckiem. Ci byli już wsiedli w garażu. Uprzywilejowani od losu ludzie, patrzyli z politowaniem na mniej energicznych i zapobiegliwych, którzy teraz krzycząc, kłócąc się, tłocząc, przewracając, zdobywali szturmem

autobus. Wewnątrz był napis, że jest 10 miejsc, ale było to widocznie obliczenie pesymistyczne, bo siedziało już 18 osób, a reszta nie traciła nadziei zdobycia miejsca. Wśród krzyku i hałasu wybijał się głos szofera:

— Proszę się usunąć, pojadą tylko ci, co mają już bilety.

I tu raz jeszcze wykazała się umiejętność i instynkt podróżniczy państwa Zadowolnickich; natychmiast po wtargnięciu do autobusu przywołali przez okno o wybitej szybie szofera i zakupili bilety. Teraz czuli się niewylewalni i w lot chcieli wykorzystać sytuację.

— Kto niema biletu niech wysiada — zaczeli agitować wewnątrz wozu, w myśl teorji szofera.

Parę osób posiadających również bilety, przyłączyło się do ich zapatrywań.

— Kontrolować bilety, kontrolować bilety zaczęli wołać ci, których prawa były już zalegalizowane czerwonym świstkiem papieru.

Na zewnątrz zaczęło wiewać kilkadziesiąt czerwonych biletów.

— Wyrzucić tych, co wsiedli bez biletów.

— Co tam bilety, kto siedzi, ten pojedzie, krystalizowała się niesforna opozycja.

— To jest niemożliwe, zapłaciłem za cały bilet, mam prawo do całego miejsca, a zupełnie mnie spychają z ławki. O, moja żona już spada — wołał donośnie pan Zadowolnicki, starając się wywalczyć lepsze warunki podróży.

Szofer wspiął się na gumę zapasową i przez wybite okno zaglądał do wnętrza.

— Proszę o bilety.

Część pasażerów podawała je z dumą, inni wyciągali przygotowaną gotówkę.

— Ksiądz nie ma biletu, proszę wysiąść, tam czekają tacy, co już wczoraj kupili.

— Wsiadłem i pojadę. Proszę o bilet, przecież nie chcę jechać za darmo.

Szofer przekonany tym argumentem podał księdzu bilet. W ten sam sposób uprawomocniło swoją pozycję kilka jeszcze osób. Jak można tak sprzedawać bilety bez liczby — odzywały się głosy. Nastrój wewnątrz wozu stawał się wprost wrogi. Ludzie patrzyli na siebie z zawiścią. Każdy zapierał się nogami, żeby się nie dać zepchnąć z siedzenia i starał się rozsiąść jak najszerzej, żeby uniemożliwić dalszy napływ podróżnych, a tym, którzy wsiedli wbrew jego przekonaniu, obrzydzić tego rodzaju pchanie się.

— Gwałtu, co się dzieje! moje nogi! Niech się pan nie rozpycha! Poco to jeszcze wozić dzieci! proszę się posunąć! Sam się pan posuń! Ładna galanterja dla dam! Niema żadnej galanterji! Ładne wychowanie! Zamknąć drzwi, nie puszczać więcej! — brzmiał autobus tysiącznemi głosami.

— Nie zamykać, zrobić miejsce, puszczać! — odpowiadano z zewnątrz.

— Lepiej doprawdy nie jechać w takich warunkach; ja już chyba nie pojadę — zawodziła otyła jejmość, która trzy razy wypchnięta, trzy razy wtłoczyła się do wnętrza.

— Ta pani powiada sama, że nie musi jechać, że nie pojedzie; wyrzucić ją — wołała jak opętana, zgnieciona doszczętnie pani-zapałka. Tylko konieczność powinna być w dzisiejszych czasach powodem podróży.

— Nie musi, nie musi? A pani musi? Nikt nie musi, a każdy jedzie — mruczała obrażona jejmość, tratując nogi podróżnych.

Głębokie refleksje mają jednak to do siebie, że nawet w chwilach największego napięcia nerwów, znajdują oddźwięk w duszach myślących. To też zaduma odbiła się na wszystkich twarzach. Widocznie każdy stawiał sobie pytanie:

— Co jest mus? Co jest konieczność? Cóż ważnego na świecie? Rzeczywiście, czyż musem do jazdy nazwać można odwiedzenie rodziców, termin bankowy, zaręczyny syna, poradę lekarską, objęcie spadku, zdążenie na pociąg? Cóż to wszystko wobec wieczności? Któż właściwie jechać musi? Ale niestety! nasze społeczeństwo. jest tak płytkie, tak rzadko umie wyciągnąć logiczne wnioski z najsłuszniejszych przesłanek, że nikt się z miejsca nie ruszył.

— Dziewiąta, już dwie godziny opóźnienia — jechać! jechać!

— Zaraz jedziemy, tylko posłałem po policję. Przecież muszą ściągnąć pasażerów z dachu i ze stopni. Zresztą czekamy na panów posłów.

Nie czekano długo. Z pomocą policji usunięto szybko nadetatowych podróżnych i utorowano drogę do wozu trzem dostojnym przedstawicielom ludu. Ci, jednem spojrzeniem zlustrowali i ocenili stosunki wewnętrzne i oświadczyli, że pojadą z przodu, koło szofera. Koło szofera siedziało już dwóch panów, ale posłowie zmieścili się jeszcze wygodnie: jeden z poprzednich pasażerów usunął się taktownie na poręcz, zwieszając nogi na zewnątrz, jeden z posłów przysiadł zgrabnie na kierownicy — reszta spiętrzyła się pośrodku.

Szofer dawał ostatnie instrukcje:

— W Słomnikach lepiej się nie wychylać, bo czasem obrzucają autobus kamieniami. Nie bywa z tego powodu nigdy wypadków, ale ostrożność nie zawadzi.

— 25 osób. Zasadniczo maszyna obliczona na 12, ale to drobnostka — mówił dalej do pomocnika, zamykając drzwi. Przez dach wśliznął się w szparkę, specjalnie dla niego pozostawioną przy kierownicy, pomocnik rozsiadł się wygodnie na zapasowej gumie i ruszono.

— Na dwunastą będziemy.

— No, pomyśl, gdyby tak koleją, to bylibyśmy w Krakowie dopiero o piątej. Co za zysk na czasie.

— Szanowni państwo do Krakowa? Ja tylko do Słomnik.

— Do Słomnik? — zainteresowali się podróżni.

— I ja też do Słomnik.

— I ja, i ja.

— No to od Słomnik będzie szerzej.

— Może pani jeszcze się tu zmieści, ja się posunę.

— O tak, doskonale, bardzo wygodnie; a panu źle?

— Nie — doskonale.

— Może papierosa?

— Dziękuję.

— Może czekolady?

W autobusie zapanowała nagle atmosfera przyjazna, pogodna, uprzejma. Czyniono sobie daleko idące koncesje. Wszyscy się wtłoczyli na ławki i tylko dwie osoby stały, trochę przygięte, bo dach był niski, a i te starały się możliwie mało deptać siedzącym po nogach, wzamian za co bliżsi sąsiedzi podawali im kolejno rękę, żeby mieli jakiś punkt oparcia.

— Pani wygodnie, tak mało miejsca pani zajmuje — odezwała się uprzejmie otyła jejmość do pani-zapałki, zapominając zupełnie w atmosferze ogólnego pojednania, że ona to właśnie chciała ją w Miechowie z wozu usunąć.

— To bardzo wygodnie być taką chudą. Ja, proszę pani, bardzo wygodnie chodzę po moczarach, nigdy się nie zapadam, to wielki awantaż w życiu.

Wszystkie panie spojrzały zazdrośnie na panią-zapałkę.

Pani Zadowolnicka snuła głębokie refleksje: naturalne przystosowanie, predestynacja pracy. Stanęły jej w pamięci często w gazetach widywane ogłoszenia: osoba do chodzenia po moczarach potrzebna zaraz. Jak naturalnie odbywa się selekcja zawodów...

— A ja proszę pani znałam jedną, co ważyła 120 kg. — mówiła dalej otyła jejmość, chcąc w oczach podróżnych zbagatelizować swoje pokaźne kształty.

Wszystkich przebiegł dreszcz na myśl, że ta osoba mogłaby kiedy jechać autobusem.

— Ale już umarła — dodała pośpiesznie mówiąca, wyczuwszy subtelnie nastrój zbiorowy.

Wśród przyjemnej pogawędki upłynęła szybko droga do Słomnik. Właściwie nie było tak niewygodnie, jak się na początku zdawało. Wogóle szczęśliwa gwiazda państwa Zadowolnickich, których powodzenie w podróży było przysłowiowe, przyświecała widocznie całemu przedsiębiorstwu autobusowemu: w Słomnikach, wbrew przyjętym zwyczajom, nikt nie rzucał kamieniami. Jeden tylko andrus chciał przedziurawić gwoździem oponę, ale go spostrzeżono zawczasu i odpędzono. Kilka osób wysiadło, natomiast dwóch posłów przesiadło się z przedniego siędzenia do

wnętrza wozu. Była to ostrożność wskazana, bo od Słomnik droga jest znacznie gorsza i siedzenie na kierownicy bardzo utrudnia szoferowi prowadzenie maszyny.

Panią Zadowolnicką uderzył nagle fragment rozmowy:

— Widzi pani ten rynek Słomnicki? To jednak duża różnica z krakowskim.

Pani Zadowolnicka wychyliła się z ciekawością przez okno:

— Nigdy mi to nie przyszło na myśl, tyle razy tędy przejeżdżałam. Jeszcze dziś zbadam dokładnie rynek krakowski, specjalnie pod kątem porównawczym. Jak nieroztropnie robiła dawna arystokracja, podróżując w zamknięciu swoich karet, lub specjalnie zamawianych przedziałach pierwszej klasy. Takie odcięcie od społeczeństwa zacieśnia horyzonty a właściwie w podróży najciekawsze zetknięcie z ludźmi. Jak się człowiek kształci w podróży!

Po półgodzinnym postoju autobus toczył się dalej.

— Jakto zaraz bardziej trzęsie, jak mniejsze obciążenie.

— Prawda, już tylko 13 osób.

— Ale za to wygodniej się siedzi.

Konwersacja potoczyła się dalej ożywiona i pouczająca.

Drobny incydent o mało nie zakłócił pogody jadących. Małemu Misiowi zrobiło się niedobrze, ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Na czas zdążono zatrzymać autobus i chorego wyniesiono na powietrze. Gdy po chwili wrócił, niebezpieczeństwo było zażegnane. I tylko bladość dziecka świadczyła o ciężkich jego przejściach.

— Niema to, panie tego, jak autobusem z dzieckiem. Kolej się nie zatrzyma i gotowa nieprzyjemność i zatarg z urzędem opieki nad odświeżonemi wagonami.

Wszyscy tembardziej ocenili zdobycze nowoczesne.

— Pasażerowie zniżkowi wysiadać.

— Jakto zniżkowi, zaniepokoił się pan Zadowolnicki, który tak oszczędny w podróży zdziwił się niezmiernie, że istnieje zniżka, o której on nie wie.

— Pasażerowie zniżkowi, proszę szanownego pana — objaśniał szofer, stojąc przy otwartych drzwiach autobusu — to ci, co pod górę Michałowicką są obowiązani popychać wóz.

— Ach to już Michałowice? to wysiadamy?

— Nie, pasażerowie pierwszej klasy wysiadają dopiero przed ostatnim zakrętem serpentyny.

— Ale, cóż znowu! wysiądziemy zaraz, taka drobnostka.

— Doprawdy, zbyt państwo uprzejmi. Co to znaczy mieć do czynienia z publicznością kulturalną.

Nikt nie chciał się okazać mniej kulturalny, jak państwo Zadowolniccy i wszyscy opuścili wóz.

— Państwo łaskawie zaczekają na szczycie.

— Owszem, owszem, proszę się nami nie krępować.

Gwarnie i wesoło ruszono szosą. Tylko pasażerowie zniżkowi z zawiścią patrzyli na burżujów, których stać było na to, by sobie zafundować wygodną i niekłopotliwą drogę.

Przed samym szczytem góry niezwykły widok przedstawił się oczom idących.

Na środku szosy stał wyprzężony powóz, obok niego leżał koń, a nad nim dwie nachylone postacie. Drugi koń szczypał spokojnie trawę w pobliskim rowie.

— Na Boga! toż to Genek, poznaję jego kare konie.

— Genek, co jest?

— A państwo tu skąd?

— My autobusem do Krakowa.

— A mnie koń padł. Psiakrew, najlepsza para mi się zmarnowała, ten hycel Wojtek poradził zakatrupić żelaznego konia.

— Ja nie winowaty, panie dziedzicu, szkapska trzy razy w tydzień gnają do Krakowa, dziewięć mil bez popasu, karwas drogi.

— Jeszcze się stawia. Będę popasał, widzisz go, pod miastem mieszkam i nie mam jeździć? Trzy lata konie chodziły i dobrze, a ten mi będzie tłumaczył, że ciężko.

— Bo ty, też jesteś uparty, Genek —

tłumaczył pojednawczo pan Zadowolnicki. — Mówię ci tyle razy, że teraz już konie nie te co dawniej. Wszystko degeneruje. Teraz przejedziesz kilkanaście mil i już się szkapy zatkną.

— Ma pan karę za swój nieuleczalny konserwatyzm — ujmowała pani Zadowolnicka kwestję z bardziej ogólnego punktu widzenia. — Przecież świat idzie naprzód, nie można się upierać przy przestarzałych środkach komunikacyjnych. Konie to dobre tak koło domu, 3, 4 mile, ale nie do Krakowa. Ma pan kolej, kolejkę, autobus — chyba wybór jest.

— Ja tam nie lubię tych inowacyj — mruczał uparty Genek.

— Trudno, musi pan iść z postępem.

— Ale teraz muszę iść na piechotę do Krakowa, bo przecież nie pojadę jednym koniem na ludzkie pośmiewisko. Niech sobie ten truteń jedzie, jak żydowski fiakier — wybuchnął nowym gniewem na furmana.

— Ale cóż znowu, za chwilę nadjedzie nasz autobus, tylko go wypchną pod Michałowicką górę.

— Ładny autobus, co go trzeba pchać.

— Mój drogi, jesteś wieczny malkontent. Nie odrazu Kraków zbudowano. Może przyjdzie czas, kiedy autobusy będą wjeżdżać same na najwyższe góry.

— Nawet słyszałam, że w najbliższym czasie ma taki autobus chodzić. Jeden inżynier w Krakowie buduje taki wóz i będzie go sam prowadził, bo takiej ulepszonej maszyny nie może dać w rękę zwykłemu szoferowi.

— A widzisz niedowiarku!

— No, ostatecznie wszystko możliwe na tym świecie.

Udobruchany perspektywą dostania się do Krakowa Genek zasiadł z państwem Zadowolnickimi na pryzmie kamieni i z przyjemnością przyjął poczęstunek. Zawartością kosza obdzielono wszystkich podróżnych.

Właśnie gdy kończono zakąskę zajechał autobus. W wesołych humorach zajęli wszyscy swoje miejsca. Dalsza droga nie przedstawiała już żadnych trudności i było niemal pewne, że podróżni zdążą na obiad do Krakowa.

Ani się spostrzeżono gdy na horyzoncie zarysowały się strzeliste wieże Marjackiego kościoła i zamajaczył w południowem słońcu Kopiec Kościuszki. Nie spostrzeżono się również, gdy w małą godzinkę potem wtaczał się autobus na Plac św. Ducha i zajeżdżał dumnie w swój kompartymeot.

— Co to? już Kraków?

— A już.

— A co, zła komunikacja?

— Rzeczywiście nie zła — przyznawał niechętnie Genek.

— Koleją jechać to już cała podróż, koni szkoda, trzymać automobil koszt wielki, a tu bez kłopotu, każdej chwili, możesz wpaść do Krakowa szybko i wygodnie — reasumowali wszystkie komunikacyjne środki miechowskiego uradowani ze swej przejażdżki państwo Zadowolniccy.

Hejnał na wieży Marjackiej ogłaszał miastu pierwszą w południe...

Zofja Morstinowa.

Ż Y C I E.

Kowal kuje — jako trzcina
Stal hartowna się ugina.
Młot opada, łoskot, szczęk...
— To bolesny życia jęk!

Kowal kuje — iskra pryska,
Miech pracuje, ogień błyska,
Młoty dzwonią, ściany drżą,
— Człowiek kuje dolę swą!

Kowal kuje — biją młoty,
Weż się i ty do roboty!
Pracuj i kuj dolę swą,
Walcząc z losu mocą złą.

Kuj aż dłoń ci nie zemdleje!
Na nic żale i nadzieje!
Próżno marzyć, próżno śnić,
Tylko silni, godni żyć!

Z. Porayówna.

NARTY.

II.

Wreszcie po tylu tygodniach oczekiwania spadł w całej Polsce śnieg. Kto tylko mógł wyrusza na narty — życie narciarskie wre w całej pełni. Co tydzień gdzieindziej odbywają się wspaniałe zawody — to w Szwajcarji — to w Czechach — to znowu w Polsce. Drużyna polska bawiła zagranicą — a choć nie zdobyła pierwszych miejsc — to jednak dzięki wspaniałej formie — zaliczyć ją można do najlepszych drużyn narciarskich w Europie. Szczegółowy przebieg z zawodów międzynarodowych o mistrzostwo Polski, które odbędą się od 17—20 b. m. w Zakopanem, a na które obiecali przyjechać najlepsi narciarze Czech, Węgier, Niemiec i Szwecji, przedstawię w następnym artykule.

Tytuł »mistrza Polski« zdobędzie ten, kto otrzyma najwyższą notę — kombinowana z biegu i skoków. Jedną z najważniejszych części konkursu są biegi. Odbywają się one na wyznaczonej i torowanej trasie. Tylko bowiem wtedy, zarówno pierwszy, jak i ostatni z kolei zawodnik posiada te same warunki. Gdy trasa jest dłuższą — to, co kilometr umieszczone są numera na tablicach, wskazujące zawodnikowi — ile kilometrów pozostaje mu jeszcze do przebiegnięcia. Dobrze poprowadzona trasa dzieli się na trzy grupy: podchodzenie, bieg po płaskim i zjazd. Taki bieg odbywa się zwykle na przestrzeni od 12—18 km. Oprócz tego istnieje t. zw. bieg długi na przestrzeni 30—60 km. Warunkiem dopuszczenia do niego jest ukończony 20 rok życia.

Rzadko organizowany — lecz bardzo ciekawy jest bieg jazdy stylowej. Odbywa się na trasie zjazdowej, krótkiej, bo liczącej 2 do 3 km. O ile przy poprzednich biegach, zawodnik nie jest obowiązany do wykonywania ewolucji narciarskich — to tutaj wolno mu tylko zjeżdżać »stylowo« t. j. przy pomocy szusa, telemarka, christjamji i t. p.

Bieg pań odbywa się zwykle na przestrzeni krótszej, bo 8 km. O zdobyciu mistrzostwa decyduje najlepszy czas — z konkursu wyłączone są skoki. Prócz tego przy każdych większych zawodach uzyskać można odznakę sprawności narciarskiej. W pierwszym roku z bronzu, a w następnnych srebrną i złotą. Warunkiem otrzymania jej jest uzyskanie w biegu pełnego minimum czasu. I tak dla pań czas przewidziany dla uzyskania odznaki bronzowej wynosi 1 g. 20 min. na przestrzeń 8 km. *E.*

ZE ŚWIATA.

Sytuacja w Chinach zaostrza się coraz bardziej. — Wojska rządu południowego z dniem każdym podsuwają się pod Szanghaj, który jest przecież centrum kolonji amerykańskich, japońskich i europejskich. Stany Zjedn. zażądały od Chin ogłoszenia sfery Szanghaju za neutralną, w przeciwnym razie grożą zbrojną interwencją w obronie swych obywateli. Anglja wysyła bezustannie na wody chińskie swoją flotę i żołnierzy, ostatnio przyłączyły się do tej akcji Włochy. Pokojowe propozycje angielskie zostały przez Chiny odrzucone, a postawione na to miejsce warunki rokowań są dla W. Brytanji nader ciężkie. Jednocześnie rozwija się coraz bardziej propaganda anty-angielska w Indjach oraz Azji mahometańskiej — i tu, jak w Chinach, inspirowana głównie przez sowiety.

Nowy gabinet niemiecki opiera się na koalicji, w skład której wchodzą ludowcy, centrum oraz nacjonaliści. Powstał on pod hasłem pokoju — idei Locarna. Nacjonaliści zrzekli się więc swojej polityki odwetowej. Czy nie jest to z ich strony zamaskowaniem się celem dojścia do władzy — wykaże praktyka. Mianowicie ostatnio zostały Niemcy uwolnione przez Radę ambasadorów państw koalicyjnych od kontroli militarnej. Wzamian zato mają ograniczyć wyrób broni oraz zburzyć twierdze nad granicą wschodnią, mające charakter zaczepny. Zrealizowanie tych obietnic wykaże szczerość intencyj niemieckiej partji nacjonalistycznej.

W stosunku do Polski — zerwanie rokowań handlowych niemiecko-polskich, które podobno jest już rzeczą dokonaną i które nastąpiło ze strony niemieckiej — świadczyłoby co najmniej o braku dobrej woli ze strony rządu Rzeszy.

Odnośnie do sprawy *spisku na Białorusi,*

o którym była mowa ostatnim razem, Sejm ogromną większością potwierdził aresztowanie posłów, którzy w nim brali udział. Przytem wyszło na jaw, że jeden z nich poseł Wojewódzki pozostawał jako szpieg na służbie tak Polski jak sowietów. *G.*

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

W Wielkopolsce rozpoczął się dnia 7. II. »Tydzień Kasprowiczowski«, ku uczczeniu poety.

Prośby o beatyfikację Piusa X., ciągle napływają do Rzymu. Ostatnio wpłynęła prośba z Brazylji. W kołach watykańskich twierdzą, że proces beatyfikacyjny niedługo będzie rozpoczęty.

Ś. p. B. Zaleski, profesor, i kierownik obserwatorjum astronomicznego, zmarł w Poznaniu.

J. Čvilicz, wszechświatowej sławy geograf, słynny zwłaszcza ze swych badań Krasu i Bałkanów, zmarł w Belgradzie.

Profesorzy uniwersytetów we Francji między którymi są żydzi, protestanci i antyklerykałowie, jak: Levy-Brühl, żyd, jeden z założycieli czasopisma »L'Humanité«, G. Dumas, protestant, prof. Kolegjum Francuskiego, L. Lapique, antyklerykał, prof. Sorbony, i wielu innych, *wnieśli prośbę* do prezydenta Rady Ministrów *o przywrócenie wolności dla zgromadzeń zakonnych.* — Prośbę swą motywują względami sprawiedliwości wobec zasług zakonów dla Francji.

Opieka nad ociemniałymi. — Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej powołało komisję która ma zająć się urządzeniem w Warszawie wzorowych warsztatów pracy dla 100 ociemniałych, celem ułatwienia im zawodowego wykształcenia, a następnie otrzymania pracy zarobkowej. Sprawa to bardzo ważna, bo w Polsce mamy około 28.000 ociemniałych.

Nowe bogactwa mineralne na Pokuciu. — Próbne wiercenia przedsiębiorstw naftowych na Pokuciu natrafiły w ostatnich czasach na wielkie, nieznane dotąd bagactwa kopalne — mianowicie we wsi Lucze pod Kołomyją znaleziono złoża soli kamiennej na 50 metrów, a wkrótce potem w sąsiedniej wsi Berezów Niżny pokłady tejże soli miąższości 70 m. — W okolicy natrafiono także na rudę żelazną oraz węgiel kamienny.

Czysto polskiem miastem we Francji jest Marles Les Mines, zamieszkane prawie przez samych górników śląskich, którzy tam osiedli po wojnie światowej. Miasto posiada własny kościół, własne sklepy i własnych urzędników.

100 książek o obowiązkach żony i matki ofiarował papież Pius XI. swej bratanicy, Marji Ratti, jako prezent ślubny.

Dziewięcioletnia uczennica szkoły ludowej w Elblągu, Frida Fröhlich, uratowała troje ludzi od utonięcia. W nagrodę otrzymała dyplom honorowy od senatu gdańskiego.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Zofja Kossak-Szczucka: »Wielcy i mali«. (Kraków, 1927). W zbiorze nowel p. t. »Wielcy i mali« przedstawia autorka szlachetne postaci działaczy, lub niewiast mężnych, które bronią śląskiej ziemi przed zakusami wroga, przed falą germanizacji i innowierstwa.

Książka tchnie miłością dla ziemi cieszyńskiej, owej krainy, nad którą »nie masz piękniejszej na świecie« i którą Stwórca powołał »z uśmiechem« do bytu, krainy borów, i lasów szumiących, oblanej nurtami modrej Wisełki.

Wśród postaci, które na miano »Wielkich« zasługują, wybija się postać kapłana-staruszka, broniącego do ostatniego tchu życia wiary katolickiej, kapłana o gołębiem sercu i duszy szlachetnej. Autorka przeciwstawia mu postaci dumnych a zimnych wyznawców luteranizmu. W sercu świętego kapłana-bojownika kryje się prawda, której daremnie innowiercy szukają, prawda, pielęgnowana w jego sercu cichem i pokornem, w sercu, które wszystkich obejmowało ożywczemi promieniami miłości.

W opis ziemi śląskiej i jej ludu wplata autorka epizod (zbyt długi) o niezwyciężonym hufcu Lisowczyków, którzy wezwani przez cesarza śpieszą za zgodą Zygmunta III. na ziemię węgierską, by tam tłumić zarzewie powstania przeciw jarzmu habsburskiemu.

W następujących nowelach powraca autorka do opisu ziemi śląskiej zwyczajów, zabobonów, gwary jej mieszkańców. *M.*

»Błękitny Pociąg« Clauda Farrera, tłumaczenie Kazimierza Bukowskiego.

Fabuła bardzo nowożytna. — Panna Mimi Firlemont, ładna a niemajętna panienka odmawia porządnego i bogatego człowieka pana Rosevilla, który się o nią stara »bo nie chce być na utrzymaniu męża« i w sekrecie przed rodzicami wyjeżdża do Indochin — w charakterze sekretarki z sześćdziesięcioletnim bogatym przemysłowcem panem Dubourg, przyjacielem od serca odmówionego właśnie pana Rosevilla. Zanosi się na sceny bardzo erotyczne, tymczasem stosunek pana Dubourg do ślicznej Mimi jest zupełnie ojcowski, nawet nieco twardy i bezwzględny. — Ale Mimi ma dużo rozsądku i setną wolę i w krótkim czasie zdobywa sobie wiedzę, szacunek, majątek.

Pan Dubourg ujęty jej zaletami odwozi ją po 3 latach do Europy i zapisuje cały swój majątek. — Wtedy to panna Mimi wychodzi za pana Rosevilla bo staje *»równa przy równym«*.

Pod względem wartości literackiej nie dorównywa »Błękitny Pociąg« innym dziełom Clauda Farrera, bardzo jednak ładne znajdujemy tam opisy natury, a jasny i prosty charakter panny Mimi jest odpoczynkiem po zwykłych bohaterkach powieściowych, których zneurastenizowane uczucia i pragnienia, wiążą się w istne węzły gordyjskie!

Powieść nadaje się bardzo dobrze i dla młodzieży a rodzice mogą spać spokojnie, bo mało Nababów Indochińskich szuka sekretarek wśród naszych panienek. *A. S.*

Aleksander Brückner: »Mitologja polska«. Studjum porównawcze (Warszawa 1924).

W uczonem tem dziełku wykazuje Brückner, jak ubogie mamy źródła do odtworzenia pierwotnych wierzeń pogańskich wśród Polaków. Wszystko, co mówi Długosz o polskim Olimpie jest zbiorem dziwnych wieści i dowodem odwagi, z jaką poczynał sobie, gdy na podstawie domysłów i błędnych rozumowań przebierał rzekome bóstwa słowiańskie w greckie szaty i wynosił je do polskiego Olimpu.

Wogóle tak mało mamy danych, by coś stanowczego o polskiej mitologji powiedzieć, iż z wielkim sceptycyzmem do kronik, zapisków i dzieł, objaśniających te wierzenia, odnosić się należy.

Pomorzanie, mieszkający nad morzem, lub plemiona ruskie poszczycić się mogą wiarogodniejszemi szczegółami. Chrześcijaństwo wytępiło u nas wszystkie niemal ślady pogańskich wierzeń i zwyczajów. Mało co się ostało. Wszystkie legendarne postaci Popielów, Piastów, Krakusów są naiwnem zmyśleniem, względnie przejęciem mitów obcych (n. p. niemieckich o Popielu i myszach). Nasze obrzędy, śpiewy ludowe noszą piętno późniejsze.

Wszędzie już chrystjanizm nałożył swe znamię. Skromne mamy tylko ślady starożytności pogańskiej w wierzeniach ludowych o upiorach i wilkołakach, lub siłach nieczystych około domu lub w przyrodzie.

Studjum prof. Brücknera dało wyniki ujemne, niemniej jednak wartościowe dla badania naszej kultury. *M.*

X. Walerjan Adamski: »Zjednoczenie Młodzieży polskiej«. Kilka uwag o ustroju i działalności (Poznań — »Ostoja« 1926), oraz »Sprawozdanie Zjednoczenia Młodzieży za r. 1925«, to małe, ale pełne treści broszurki, dające obraz ożywionej działalności tej największej organizacji młodzieży pozaszkolnej w Polsce.

Młodzież polska pozaszkolna ze względu na swą liczebność (około 300.000) miała wyjątkowo korzystne warunki do łączenia się w silne ilościowo i jakościowo związki.

W roku 1919 powstała potężna, obejmująca cały obszar Rzeczpospolitej, organizacja młodzieży pod nazwą: »Zjednoczenie Młodzieży Polskiej«.

Najniższym stopniem »Zjednoczenia« są »Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej« — po miastach i wsiach zakładane. Te, na obszarach województw łączą się w »Związki Młodzieży Polskiej«, Związki zaś tworzą najwyższą jednostkę organizacyjną: »Zjednoczenie Młodzieży Polskiej«. W ten sposób powstał bardzo dogodny system federalistyczny, wykreślający liczenie stopni niższych na pomoc wyższych.

«Zjednoczenie Młodzieży Polskiej« zakre-

siło sobie obszerny plan działania. Obok pracy nad wychowaniem religijno-moralnem nie zaniedbało też wychowania fizycznego, czy zawodowego.

»Zjednoczenie« zajmowało się także pracą wydawniczą o czem świadczą liczne pisma dla młodzieży. A więc:

1). »Mały światek«. — miesięcznik obrazkowy dla dzieci.

2). »Przyjaciel Młodzieży« — dla młodzieży męskiej.

3). »Młoda Polka« — dla młodzieży żeńskiej.

4). »Kierownik Stowarzyszeń Młodzieży« — dla zarządowców męskich i żeńskich S. M. P.

5). »Przewodnik społeczny« — dla instruktorów w S. M. P.

»Zjednoczenie Młodzieży Polskiej« liczy obecnie 1.214 stowarzyszeń, co daje 77.922 członków.

Jeżeli zwrócić uwagę na względnie krótkie istnienie »Zjednoczenia«, trzeba przyznać, że instytucja ta rozwija się szybko i wróżyć jej można długą, pełną pracy i pomocy ze strony społeczeństwa, przyszłość.

Z. S.

OD REDAKCJI.

Na 35 Waszych listów mam dziś odpowiedzieć, a większość około jednego obraca się tematu, więc odpowiadam wszystkim razem i wszystkim razem za te miłe mi wynurzenia myśli Waszych dziękuję. Skoro Wam się tak podoba projekt rozszerzenia działu Waszych prac w »Dziś i Jutro«, to musimy poważniej się nad tą kwestją zastanowić i wysiłki Wasze w tym kierunku w pewien ująć system.

Jedne z Was lubią pisywać, inne wolą czytać, ale nie zawsze to, co pierwsze napisały.

Donieście mi więc: 1) co chciałybyście znaleść do czytania wśród tych Waszych prac? Czy rozprawki poważne? a na jaki temat? — powiastki czy wiersze?

2) Co która podejmie się napisać raz — co stale nadsyłać?

Czy chcecie pisywać pod pseudonimami? (Redakcja w każdym razie musi znać nazwisko, adres i wiek współpracowniczek — oraz szkołę do której uczęszczają).

Kto ma już prace gotowe niech je do redakcji nadsyła.

Gdy będę miała duży zapas materjału *w dobrym gatunku* — dam Wam znać co się z tego da wykrajać.

Wszystkie nowo zgłaszające się Gawędziarki z radością przyjmuję i o ile miejsce pozwoli umieszczać będę Wasze zajmujące liściki. — Nie będziemy jednak dawać do druku listów poruszających sprawy osobiste, lub interesujące tylko małe kółeczko znajomych. Nie zdradzamy też nazwisk Gawędziarek, ani ich adresów.

GAWĘDY PRYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także **numer** *listu, na który się odpowiada).*

252. *Biruta do Sokolęcia 245.* Również nieznana w tem gronie i rzadko biorąca udział śpieszę Ci donieść, że oddawna już myślałam o utworzeniu takiego działu, któryby zawierał nasze prace i dlatego ogromnie mnie ucieszył Twój projekt. A skoro już posiadamy aprobatę kochanej pani Redaktorki, to trzeba istotnie wziąć się do roboty. Jabym jednak dodała, aby były poprzednio opracowane tematy, gdyż tylko w ten sposób prace nasze będą miały wspólny cel, jedną myśl przewodnią. I dlatego podaję projekt, żeby czytelniczki, które interesują się tym działem w oznaczonym terminie nadesłały tematy, a raczej tytuły do opracowania, wtedy dowiemy się, jakich utworów chce większość i takie będziemy pisały. Oczywiście można nadesłać pracę inną, ale ta byłaby poza planem głównym. Co o tem myślisz?

Obawiam się tylko, żeby to nie był »słomiany ogień«, zapał, który szybko gaśnie, więc chciałabym zachęcić wszystkie czytelniczki »Dziś i Jutro« do tej nowej, pięknej pracy, gdyż jedynie razem możemy coś trwałego zdziałać.

253. *Biruta do Halszki 247.* Dlaczego smutno na świecie? Wszak on taki piękny i tyle daje radości. Tylko trzeba umieć patrzeć na świat, widzieć rzeczy naprawdę piękne i te dla duszy zachować. A czasem można popatrzeć na smutne, na łzy, ale dlatego, żeby je w radość zmienić. »Na świecie, trzeba żyć ze światem«, nie wystarczy dobra książka i skrzypeczki. Zdaje mi się, że to samo przeżywałam. A wiesz, jak teraz postępuję? Zbieram zewsząd piękne i dobro, a gdy jestem pewna, że mi ich starczy na łzy i bóle, idę do smutnych, nieszczęśliwych i staram się całą swą radość im oddać. I największego szczę-

ścia doznaję wtedy, gdy zdołam na zbolałych twarzach uśmiech wywołać. Te drobne czyny w zapomnieniu o sobie dla dobra innych dają mi radość i wesele życia. Przemyśl i odpisz, czy trafia ci to do przekonania.

254. *Biruta do Gawędziarek.* Proszę Was bardzo, drogie Gawędziarki, o udzielenie wiadomości, jak się pędzi bez i fjołki. A może która z Was zna specjalną książkę poświęconą chodowli kwiatów ogrodowych w zimie i mogłaby mi ją polecić?

255. *Czarowniczek do Rycerki Złotego Serduszka 172.* Nigdy nie powinnaś dopuszczać do siebie takich »chmur zwątpień w dobroć i w przyjaźń«, gdyż one mimo odejścia, zawsze pozostawiają w nas cień żalu i zniechęcenia. Trzeba je zawsze odpędzać jak najdalej, ażeby swym pesymizmem nie zmąciły spokoju duszy naszej i trzeba zawsze wierzyć »pewność bowiem tylko robi nas niezwyciężonymi«.

256. *Promyczek do Andrzejki 225.* Zgadzam się z Tobą i teatr niesłychanie lubię w przeciwieństwie do kina, którego nie znoszę. Wolę bywać rzadziej w teatrze niż bardzo często w kinie. Uważam, że od kina psują się oczy i nigdy do kina nie chodzę.

257. *Nadzieja do Andrzejki 167.* Dawniej często gniewałam się z koleżankami, nieraz dla błahych powodów. Do wyrugowania tej wady z mego charakteru pomogła mi częstsza spowiedź i nauki mego spowiednika. Szczególnie te ostatnie były i są dalej skutecznem lekarstwem. Andrzejko pamiętaj! Skoro gniewamy się na bliźnich, gniewamy się na Boga. A czy możemy gniewać się na Naszego Ojca, Pana i Dobrodzieja?

258. *Promyk do Gawędziarek.* Pragnę poznać sztukę japońską. Czy która z kochanych Gawędziarek nie mogłaby mi wskazać dzieła traktującego o tem?

259. *Mały Paderewski do Gawędziarek.* Przyłączam się do Was, kochane »Gawędziarki« i myślę, że chętnie mnie przyjmiecie do swego grona. Zdaje się, że mieszkam od was wszystkich bardzo daleko, ale to nie przeszkadza do zawarcia przyjaźni. Wszystkie pracujemy nad wyrobieniem swego charakteru i postępujemy naprzód.

260. *Mały Paderewski do Uma-diny 154.* Dlaczego pisujesz pod takim pseudonimem? Zdradź tajemnicę, a wyjawię Ci historję mego.

261. *Iskierka do Gawędziarek.* Dopiero teraz zaczęłam prenumerować »Dziś i Jutro« i chciałabym się z Wami zaznajomić, gdyż bardzo mi się podobają Gawędy i całe to pisemko.

262. *Iskierka do Orlecia Lechowego 220.* Bardzo mi się podoba Twój pseudonim. Powiedz mi dlaczego go obrałaś?

263. *Kole-Oczko do Gawędziarek.* Miłe Gawędziarki, kochane Gadulki! Weźcie Kole-Oczko też do swojej spółki. Może się poznamy, potem pokochamy. A na zakończenie, buzi sobie damy!

264. *Gizelka do Gawędziarek.* Przyjmijcie mnie, proszę do swego grona i powiedzcie mi jak się zapatrujecie na uroczystość szkolnego opłatka?

265. *Gizelka do Orlątka Lechowego 153.* Bardzo mnie zaciekawia Twoje upodobanie we wsi, które jest zarazem mojem. Cudowna przyroda, bory żywiczne, barwne łany, dziwne na mnie wywierają wrażenie. A najwięcej pociąga mnie praca w ogrodzie warzywnym, w sadzie i pielęgnowanie pszczół. Napisz mi czy się zgadzasz w tem ze mną.

266. *Kole-Oczko do Sokolęcia 245.* I ja też pierwszy raz wchodzę do gronka Waszego. Mam nadzieję, że się polubimy. Podoba mi się Twój projekt, ale nie wiem czy tak prędko można będzie wprowadzić w życie. Bo przecież nasze nowelki czy wiersze nie są jeszcze tak poprawne, żeby je można było odrazu podać do druku. Jak Ci się zdaje? Jaki dział z naszego pisemka najbardziej Cię interesuje. Bo mnie dział nowelek i Gawędy?

267. *Amaryllis do Gawędziarek.* Drogie Koleżanki! Czytam Waszą korespondencję zawsze z wielkiem zainteresowaniem, lecz nie mogłam się wybrać do Was z listem. Przypuszczam, że nie gniewacie się za nagłówek: »Drogie Koleżanki«, bo to nawiązuje serdeczny stosunek między nami, prawda?

Jak się zapatrujecie na powieść Mniszkówny »Trędowata«? U nas w klasie panuje wielka wojna (naturalnie na języki), pomiędzy przeciwniczkami i wielbicielkami Mniszkówny. Ja przyznaję otwarcie, należę do tych ostatnich, a Wy?

268. *Amaryllis do Dziecka Marji 218.* Podzielam w zupełności Twą antypatję dla fizyki. Nie lubię jej, jak i większość moich koleżanek. Zato bardzo lubię język angielski, a przedewszystkiem Shakespeare'a i Scott!a.

269. *Amaryllis do Orła Lechowego 221.* — Współczuję serdecznie z Tobą, że nie możesz pójść na uniwersytet. Ja również chciałabym na uniwersytecie studjować język angielski, lecz bardzo wątpię, czy to się spełni.

270. *Koszałek-Opałek do Gawędziarek.* — Drogie Gawędziarki! Zachęcona Waszemi miłemi gawędami, chcę przyłączyć się do Waszego grona i pytam: Czy chciałybyście podróżować? gdzie i dlaczego?

271. *Pożoga do Gawędziarek.* Tajemnicze Gaduleczki, zechciejcie mnie przyjąć do swego koła, a w dowód tego, że chętnie przytulicie mnie do siebie odpowiedzcie mi na pytanie: Czy lubicie wesołe towarzystwo i koleżanki?

ROBOTY RĘCZNE.



Haft krakowski. Ze zbiorów prof. Udzieli.

WSPOMNIENIA HARCERKI.

»Tak nam dopomóż Bóg...«

Przebrzmiały ostatnie słowa pieśni — padł rozkaz Drużynowej: »Wtył, biegiem rozejść się«.

»Hurra! niech żyje Drużynowa i Jej klasyczne pomysły« góruje okrzyk Hali-klasyka, nad krzykiem i piskiem całej »Drużyny«, która nie wyłączając »zuchów«, oblega Drużynową. Uciesze niema końca. Jakże! przecież pojutrze wycieczka!! Wielka wycieczka z jazdą kolejką wąskotorową i innemi atrakcjami.

»Pamiętajcie stawić się punktualnie piątą rano na dworcu. Niech żadnej nie braknie. Przecież to pierwsza nasza wycieczka w tym roku, temi słowy żegna Drużynowa dziewczynki, które opuszczają boisko ćwiczebne. Rozpływa się powoli pstry tłum różowoczarnych »Kruków«, zielono-niebieskich »Srok« i wielu innych zastępów. Ostatnie »Czuwaj« przy bramie i każda śpieszy w swą drogę.

. . . .

Ta noc wlecze się i wlecze bez końca — mruczę, zła porządnie, przewracając się z boku na bok.

— No nareszcie czwarta! — Hop z łóżka, buch do zimnej wody, i w parę minut już jestem gotowa. Kapelusz mocno wciśnięty, krawat fantazyjny »pęczek« na ramieniu nowiutki, bo przecież to wielka uroczystość! Plecak solidny, laska w ręce i marsz na dworzec.

Na dworcu już rojno. Są prawie wszystkie.

— Wie Druhna Przyboczna, ja nic nie spałam, opowiada mi w »tajemnicy« jakiś malec.

— Przyrzekłam Mamusi, że będę spała, ale naprawdę nie mogłam. Ale proszę tego do »wad« nie zanotować, mówi dalej i podnosi w górę srodze zatroskane oczęta i zaróżowiony porannym chłodem, nosek. Myślę sobie (też w tajemnicy) cóż się tobie malcze dziwić, skoro ja stara harcerka, hm, nawet »przyboczna« — ale dajmy temu pokój...

Przeraźliwy gwizd lokomotywy i cała gromada pakuje się na otwarte lory. — Ach! jaka to cudna jazda! Słońce delikatnie pieści swemi pocałunkami, wokoło lasy pełne żywicznej woni. Jakie życie cudne, jak piękny świat!

— Drużyna »odtrąbiono«!

»Hu — ha«, a za chwilę w takt pędzącego pociągu, płynie »Kiedy ranne« a następnie wesołe »Ledwie skowronki«. — Po godzinnej jeździe, jesteśmy prawie u celu. Wysiadamy z krzykiem, gwarem.

Na szczęście jazda, mimo humorów, przeszła bez żadnego wypadku, nie licząc »pa-

dnij«, jakie wykonał jeden z zuchów, przez zbyt szeroką szparę w lorze. — Po zbiórce i podziale na zastępy, maszerujemy w las. Wojna, przetrzebiła te nasze ukochane lasy, ale już dźwigają się z tej zmory straszliwej, która nawet ich nie oszczędziła i wznoszą swe głowy wysoko — wysoko nad nami.

Na otwartych polach upał straszliwy, ale my idziemy lasem, więc rozkoszujemy się wilgotnym chłodem. Wreszcie dostajemy się nad głęboki jar i tam rozbijamy obóz. — Kucharz-Niusia, zabiera się do pracy, bo drużyna po tęgim marszu, zgłodniała. Pomagamy zbierać paliwo, a Jadzia i Zosia dmuchają w ognisko, które wreszcie strzela jasnym płomieniem.

— Ogień, ogień! — piszczą zuchy i wykonują z uciechy, jakiś prymitywnie-fantastyczny taniec.

— Dwie z pierwszego zastępu, idą po wodę — komenderuje Drużynowa, a reszta »zbiórka«, zaczynamy gawędę.

I płynie potok słów rozpalający w młodych duszach szczytne ideały, roztaczający przed zasłuchaną dziatwą obraz wielkiego piękna i dobra. Błękit nieba, cudne słońce, bór dostojny, potężny, świeżość trawy młodej, stanowią doskonałe ramy, tej »przyszłości narodu«.

Po gawędzie szturm do plecaków, a wesołe rozmowy i śmiechy rozbrzmiewają daleko po lesie.

A bór słucha w milczeniu i od czasu do czasu, skłania dobrotliwie koronę drzew, jakby chciał zaznaczyć swój udział w zabawie.

— Ale słońce pali, — odzywa się jakiś głosik.

— Naprawdę, jest jakieś anormalne gorąco.

— Patrzcie, powietrze drży! Oj, żeby tylko deszcz nie padał, wzdycha druga.

— No to co? — Przejdziemy chrzest wycieczkowy ten nas nigdy nie minie. Lepiej już się go pozbyć.

— Et, lepiej o tem nie mówcie, nie wywołujcie tego niepożądanego gościa.

A jednak przyszedł! Zaczęły powoli padać grube krople, te jednak, dzięki osłonie lasu były dla nas nieszkodliwe. Zaczęłyśmy składać rzeczy, gdyż już był czas zabierać się z powrotem. Chciałyśmy znów w porządku pomaszerować do przystanku, ale gwałtowna ulewa, zmusiła nas do pośpiechu. No i zaczęło się sromotne »wyrywanie«. Biegnąca tuż kolomnie Hala-Klasyk wypadła ze swej roli i pędzi na oślep. Nagle bardzo blisko uderzył piorun, potem drugi i trzeci, a wreszcie zagrała cała kapela, którą echo leśne jeszcze potęgowało. Patrzę, a moja Hala pełznie na czworakach i drżącym głosem odmawia: »Pod Twoją obronę uciekamy się«.

— Halko! wstyd tak stchórzyć, a jeśli »uciekasz się« to uciekaj, ale nie leż, bo i nas zatrzymujesz a już do nitki jesteśmy mokre!

— Za karę zaraz upadniesz, odpowiada mi płaczliwie, a ja o zgrozo! potykam się i chlap w kałużę! Wstaję dokumentnie wysmarowana i śmiejąc się wesoło, bez tchu prawie, pędzę szybko dalej.

— Och jej! moja głowa, już dwa razy uderzyłam się, jęczy Stasia, którą minęłam.

— Uważaj bo drzewa porozbijasz, dorzuca któraś z jej towarzyszek niedoli.

— Za takie niszczenie dobra państwowego rząd z ciebie grzywnę ściągnie, dodaje druga. Dobrze, że mają mimo tych katastrof humory, dzielne z nich dziewczynki, bo mnie zaczyna się niewyraźnie robić, od tego szalonego biegu, a woda w bucikach, urządza istną »kocią muzykę«. Nareszcie w opłakanym stanie, zbieramy się wszystkie na przystanku.

— Żadnej nie brak?

— Nie, są wszystkie, meldują zastępowe.

— Ja tak spuchłam i tyle mam siniaków, że można mnie za dwie policzyć.

— To dobrze, drużyna nam rośnie!

— Ha-ha-ha! wybucha wesoły śmiech.

— Ja mam na jednej nodze aż pięć znaków!

— Ja ci dam jeszcze jeden swój, będziesz miała pół tuzina.

Na takiem liczeniu i przekomarzaniu się upływa czas szybko. Nadjeżdża kolejka, a i deszcz przestał padać, niebo się wypogadza i znów świeci cudne słońce. Wygrzewamy się i suszymy. Kończymy przyprowadzanie do porządku naszych wyglądów, ale miny zaczynają nam rzednąć w przeczuciu »bury«. Zajeżdżamy na dworzec, a tu — o rety! cały tłum Rodziców, z okryciami, parasolami, (teraz to chyba od słońca!) i wielce srogiemi minami. Zaczyna się witanie i otulanie »skarbów«, bo choć tyle zmartwień przynoszą, zawsze to kochane. Nagle słyszymy głos mamusi Janki-Kruka: Nic nie szkodzi, że zmokły, dobrze, że są zdrowe i wesołe. Humor to zdrowie i wielka zaleta młodzieży.

— Drużyna »hurra« na cześć pani N...! Krzyczymy »hurra« jak tylko można najgłośniej, myśląc w duchu, że może to powiedzenie uratuje nas przed burą.

Przychodzę do domu, myję się znacznie wolniej niż rano. Spać mi się chce. Rozcieram zmęczone nogi, ale już kombinuję nowe wyprawy. Do pokoju wchodzi mamusia, a ja myśląc, że się na burę zanosi, chowam odważnie nos pod kołdrę. Tymczasem — nie. Mamusia gładzi mię delikatnie po rozwichrzonej czuprynie i mówi miękkim głosem:

— Oj ty malcze utrapiony.

— Mamusia taka jak słońce, przesuwa się ostatnia refleksja. Powieki opadają na senne oczy i po chwili, twardo zasypiam .

Promyk.

K O N K U R S
NA POCZTÓWKĘ WIELKANOCNĄ.

Należy podać projekt rysunku na kartkę pocztową, używaną do przesyłania życzeń wesołych świąt wielkanocnych.

Treść rysunku winna być zastosowana do okoliczności. Sposób wykonania dowolny. Termin nadsyłania prac: 25. III. 1927.

Najlepsze prace będą wydrukowane i nagrodzone.

ŁAMIGŁÓWKI.

ŁAMIGŁÓWKA DOPISYWANA.
(ułożył „Fjołek Leśny“).

Zastąpić kropki literami tak, aby całość utworzyła wiersz Juljusza Słowackiego.

M . . d . . c / u . . e . . / w / s . . / c . . s . . / i / z . . t . /
. t . r . / n . . / f . . m . / p . . e . . t . j . / s . a . e /
. / m . . z / b . o . / p . . n . / ś . . a . . / c . e . r . o . . /
M . s . / . e / . n . . h / . w . c . / j . . / s . . o . z . . ą / w . a . ę /

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA.

1 ×
2 ×
3 ×
4 ×
5 ×
6 ×
7 ×
8 ×
9 ×
10 ×
11 ×
12 ×
13 ×
14 ×

Podane sylaby: **Min, ma, ma, mar, man, mek, ał, a, dziada, do, dy, da, ni, nej, vi, we, lis, le, ja, ja, jan, jon, il, i, in, e, e, kord, ka, ryd, rek, cy, eja, pant, se, ki, su, ski, cza, za, we, ry, ha, niow** — ułożyć tak, ażeby powstały utwory, poniżej podanych autorów:

1) Powieść M. Rodziewiczówny. 2) Utwór A. Mickiewicza. 3) Powieść Rodziewiczówny. 4) Utwór A. Malczewskiego. 5) Utwór J. Słowackiego. 6) Epopeja Homera. 7) Utwór Korzeniowskiego. 8) Utwór Słowackiego. 9) Utwór Słowackiego. 10) Powieść B. Prusa. 11) Utwór S. Wyspiańskiego. 12) Powieść Wł. Reymonta. 13) Powieść Rodziewiczówny. 14) Utwór Goszczyńskiego.

Początkowe litery × mają utworzyć imię i nazwisko jednego z największych poetów polskich.

SZARADA
(ułożyła Jadźka ze Stanisławowa).

Pierwsze sobie płynie,
Po włoskiej krainie,
Połączone z trzeciem,
Pokryte jest kwieciem.
Drugie, nuta znana,
Dość często śpiewana.
Całość kraj kochany,
W Polsce położony.

Rozwiązania łamigłówek zamieścimy w Numerze 5-tym (1-go marca b. r.).

TREŚĆ Nr. 4-go.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Kwartalnie 3·— zł, półrocznie 5 zł 50 gr, rocznie 10 zł. — W Ameryce rocznie 2 dolary.
Dla prenumerujących większą ilość egzempl., do każdych 5-ciu egzempl., dołącza się **6-ty bezpłatnie.**
Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.